№ 28. Warszawa, dnia 30 Czerwca (12 Lipca) 1882 r. Rok XVII.—Tom XVIII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

IMPROMPTU.

O, niech się dusza twoja wsłucha
W najskrytsze serc zranionych tętno!
W boleść, co cichą łzą wybucha,
W rozpacz, co łamie skrzydła ducha,
Na serce kładąc śmierci piętno!

O, niechaj twoja myśl ogarnie
Wszystkie łzy świata z ich żałobą!
Dumnych a wielkich dusz męczarnie,
Ogromy sił, co giną marnie
W walce człowieka z samym sobą!

A dłoń twa w uśmiechnięte twarze,
Niech ciśnie skargą tych, co płaczą;
Szczęśliwym łzy niech poda w czarze,
Niech im, jak widmo, tych ukaże,
Co do serc bratnich nie kołaczą!

A wtedy serce twoje śmiało
Niech z bólu zadrga, młody bracie,
Boś zmierzył duchem ludzkość całą,
Kroczącą naprzód z ofiar chwałą,
W wiecznej niedoli majestacie.

Lecz tyś nie z tych, co na się biorą
Ludzkości całej łzy i krzyże!
Dręczony wiecznych zwątpień zmorą,
Tyś przyszedł na świat z duszą chorą,
I srebrne struny na twej lirze.

Ty, zamiast iść na czele rzeszy,
Będziesz stać zdala uśmiechnięty,
I pytać drwiący: Gdzież to śpieszy?
I wołać dumnie: Mnie to śmieszy!
Aż prąd cię porwie w swe odmęty.

I ty, coś nigdy nie zgiął skroni
Przed żadnym tłumu ideałem,
Będziesz ubóstwiał to, co oni,
I nic od złudzeń nie uchroni
Ciebie, sceptyka w życiu całem

Lecz liry twojej srebrne nici,
Gdzież pieśń wygrają piorunową?
Rozpacz bezsilna cię pochwyci,
Chwila cię szału wnet przesyci,
W jęk się rozpłynie męzkie słowo.

Nie! ty nie porwiesz miecza w dłonie,
By iść w zapasy walk olbrzymie!
Ty na kochanki skonasz łonie,
Pieśń nucąc dla niej—i pochłonie
Grób zapomnienia twoje imię.

Czesław.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Zobaczywszy ją, chorąży, wprost na kanapę podążył, żądając, aby siadła przy nim, wyciągając ręce drżące, usta sposobiąc do pocałunków.

Dziewczę, z wyrazem wstrętu, zmuszone przez matkę, zbliżyło się, spoglądając na starca z tak wyraźną pogardą i niechęcią, iż matka struchlała.

— Perełka ta! królowa! ha — począł mruczeć— a niełaskawa była, uciekła, a książę tu już raz był!

Ty jakaś!

Nie dała mu odpowiedzi.

— Ale bo cię miłuję bardzo—rzekł śmiejąc się— iżbym cię zjadł! ty, jakaś!

— Mości książę, a mnie na płacz się dziś zbiera—wybuchnęła Faustysia.

— Czegóż to?

Matka trąciła córkę:—Zlituj się!

Faustyna umilkła, lecz twarz okazywała gniew i rozdrażnienie.

Chorąży patrzał na nią i poczynał się marszczyć.

— Choć na ten moment, gdy ja tu przybywam, należałoby się rozweselić?—zamruczał.

— Tu? — odparła Faustysia śmiało — na tym zamku? Któż tu wesół być może, gdy pod nogami jego jęczą ludzie w kajdanach, niewinni. Książę nie masz litości!

Zwolna, książę, jakby się ze snu przebudzał, począł się podnosić i oblicze jego przed chwilą uśmiechnięte lubieżnie, wyraz dzikiego okrucieństwa przybierało.

— Ty? jakaś! — krzyknął — ty! niewdzięcznico, która śmiesz—mnie.

Głosu mu zabrakło, twarz różowa, stała się czerwoną, karmazynową, siną — podniósł pięść i zmierzył oczyma nieustraszone, wyzywające go dziewczę,—jakby je wzrokiem chciał zabić.

— Oszalała! — zabełkotał. — Mnie! któż mnie śmieć może.

— Ludzie nie śmieją! o! nie—zawołała Faustyna, odsuwając się od niego—przyzwyczaili księcia do czołgania się i pochlebstw — ale jest Bóg, jest Bóg, a straszne są sądy Jego.

Matka, przerażona, usta jej ręką zacisnęła.

Chorąży cały drgając, jak w konwulsyach, podniósł się na nogi, krzyknął zmienionym głosem strasznym i runął, jak kłoda, w pół na ziemię, w pół na kanapę; oczy mu stanęły słupem.

Stuk, który w przedpokoju posłyszał stojący hajduk, sprowadził go tu. Zobaczywszy leżącego księcia i już napróżno usiłującego podnieść się lub głos wydać, przypadł do niego, coprędzej, chcąc podnieść z ziemi. Jakkolwiek silny, podołać temu nie mógł—zawołał na wylękłą Zaborską, aby po ludzi pobiegła. Faustynka w pierwszej chwili uciekła do swojego pokoju.

Książę bełkotał coś, oczyma wodził do koła, poruszał się, lecz zdawało się, iż mowę mu odjęło. Hajduk trzymał podniesioną głowę, która bezsilna opadała.

Trzech służących wbiegło na wołanie Zaborskiej; chwycili na ręce chorążego i coprędzej ponieśli do sypialni, na łóżko.

Dubiski, który, jakby przeczuciem nie rozbierał się i był na dole, znalazł się natychmiast przy księciu. Ale z twarzy jego widać było, że nie miał tu nic już do czynienia.

— Po księdza!—szepnął cicho.

Służba rozbiegła się natychmiast po zamku, trwożąc, kogo spotkała, po drodze. Dano znać chorążynie; dowiedział się Wojewoda Czerniechowski; zbiegli się wszyscy: książę leżał bez mocy, jednem okiem poruszając tylko.

Ksiądz biskup Riokur, na wpół rozebrany, płaszczyk czarny narzuciwszy na ramiona, stawił się także wprędce.

Spoglądano na Dubiskiego, który nie odchodził od łóżka i z powolnością lekarza, który mógł przewidzieć katastrofę—patrzał na nią obojętny.

Pytali go wszyscy.

— Momenta policzone!—rzekł—ratunku niéma.

Ksiądz biskup tymczasem niedającego przytomności znaków na śmierć dysponował.

Obawiając się zapewne, aby nagle objawiona wiadomość o niebezpieczeństwie, jakie groziło chorążemu, nie wznieciła niepokoju i bezładu, zamknięto drzwi, nakazano milczenie.

Po izbach na dole śmieli się jeszcze i pili parobcy i gawiedź zamkowa. Poruszenie na górze przeszło niepostrzeżone; tajemnica do czasu została zachowaną.

Gdy się to działo, a Wolski z innymi pił i dokazywał u marszałkowskiego stołu, gdzie rej wodził i co chciał sobie zuchwale pozwalał; napity już Wątróbka, znalazł się niewiadomo jakim sposobem na górnych kurrytarzach zamkowych. Prawdopodobnie podkradał się do fraucymeru księżny. W chwili, gdy hajduk z pomocą ludzi przenosił już bezprzytomnego chorążego do sypialni, Wątróbka widział to, podkradł się bliżej, wsunął do przedpokoju i posłyszał nawet, gdy doktor mówił, że chwile są policzone.

Jak kula potoczył się na dół, wprost do izby, kędy łowczy dokazywał.

Stanął naprzeciwko niego i z początku mu w oczy patrzał drwiąco, potem przypadł do niego nagle i szepnął mu coś na ucho. Wolski wziąwszy to za głupi żart, popchnął go całą siłą, tak, że Wątróbka zatoczył się i mało nie upadł.

Coś jednak tknęło Wolskiego i poskoczył do chłopca.

— Łżesz—trutniu!

— Idź — zobacz — odparł śmiejąc się złościwie Wątróbka — jego życie a twoje panowanie się skończyło.

Chociaż nie wierzył Wolski, wybiegł natychmiast i dostał się do przedpokoju. Na pierwszy rzut oka, poznał, iż się tu coś niezwyczajnego stało. Służba stała, milcząca i przerażona, drzwi sypialni były zamknięte. Wolski zbliżył się do nich, hajduk mu zastąpił drogę.

— Nie kazano puszczać nikogo.

— Mnie?—zawołał Wolski — gwałtem chwytając za klamkę. Sawery go odtrącił.

Wolski zbladł i zachwiał się na nogach. W tem z sypialni wychodzący Dubiski drzwi uchylił; Wolski zobaczył w niej księżnę, Wojewodę, Kaszyca i kilka osób.

Napadł na doktora.

— Panie konsyliarzu — zawołał głosem drżącym—cóż to jest—puszczać mnie nie chcą? mnie!

— Nie jesteś tam potrzebny — odparł doktor obojętnie, który z kubkiem wody powracał do pokoju chorego.

Targnął go za rękaw zrozpaczony Wolski.

— Cóż? nie żyje?

Doktor mu nie odpowiedział.

Wytrzeźwiony nagle, z twarzą bladą—Wolski stał, widząc, jak do koła ci, co wczoraj ze strachem mu się kłaniali i służyli nadskakując, wcale już nie zważali na niego. Był to dlań najpewniejszy znak, iż—z księciem strasznego coś dziać się musiało. Wolskiemu tem konieczniej potrzeba było się dostać do łoża, zobaczyć co się stało.

Żyje czy umarł?—powtarzał sobie niespokojnie.

Ktoś tu już więc inny miał prawo rozporządzania się, gdy jego śmiano zatrzymywać u progu.

Mrowię przeszło po nim. Do koła otoczony nieprzyjaciołmi samymi, mógł się spodziewać zemsty i sponiewierania.

Z sypialni żaden głos mogący być oznaką wypadku nie dawał się słyszeć wyraźniej. Zdawało mu się, że księżny płacz się odzywał chwilami, potem szept stłumiony, jakby modlitwa i cisza przerażająca.

Ile razy, korzystając z zadumania hajduka, chciał się wśliznąć i zbliżył do drzwi — odtrącano go od nich.

Wtem wyszedł Wojewoda Czerniechowski, o którym wiedział dobrze Wolski, że go nie cierpiał; skłonił mu się jednak pokornie i spytał głosem drżącym:

— Jaśnie wielmożny panie, książę,—mój Boże, czyżby już nie żył.

— Książę— żyje — dumnie, pomijając go i niechcąc się wdawać w rozmowę dłuższą — odparł Wojewoda Czerniechowski.

Chciał Wolski spytać, co się stało, ale nie miał odwagi. Spróbował cicho zaczepić hajduka; ten odpowiedział mu sucho:

— Nic nie wiem.

Tymczasem faworytowi chorążego zależało na tem wiele, aby miał pewność życia lub śmierci. Ufał w to, że hetman, jeśli on mu pierwszy przywiezie wiadomość o śmierci brata i o tem, że on testamentu mu zrobić nie dał—będzie nań łaskawym i wynagrodzi.

To jedno uratować go mogło.

Lecz, uchowaj Boże, gdyby on się wybrał w tę drogę, a chorąży ożył i ozdrowiał? — naówczas bezpowrotnie był zgubionym.

Cały los jego od tego kroku zależał. Nie mógł więc ruszyć się ztąd, nie mając pewności.

Postanowił uparcie pozostać na miejscu, sparł się o ścianę, skulił i nic z oka nie spuszczał.

Na niego nikt już ani patrzał.

Znał Wolski obyczaj chorążego, że gdy chorym bywał, jęczał głośno, stękał, krzyczał i nigdy nie leżał spokojnie. Cisza w sypialni, zdawała się śmierć zapowiadać, lecz dlaczego-by ją tajono?

Wewnątrz dał się słyszeć stłumiony krzyk, głos księżny, a potem kroki ku drzwiom przeciwnym. Wyprowadzano ją więc?

Na Wolskiego biły płomienie i przechodziły go dreszcze—dłużej już wytrzymać nie mógł tej niepewności. Wiedział, że sypialnia miała drzwi drugie do gabinetu, przy których zapewne nikogo nie było. Wysunął się więc na pokoje, do sali, w której panowała już ciemność, przez nią dostał się do gabinetu, w którym jedna woskowa świeca w lichtarzu się dopalała. Drzwi nie były strzeżone. Śmiało do sypialni wtargnął tędy Wolski.

Była ona pełną osób, a około łóżka stali wszyscy, tak ściśnięci, iż tego, co na niem leżał, dojrzeć nie można było. Na palcach przybliżył się Wolski, obawiając się, aby go nie dostrzeżono i precz nie odegnano. Uczynił się małym, rad był być niewidocznym.

Ks. biskup Riokur stał, odmawiając modlitwę pocichu, krzyż trzymał w ręku.

U łoża księżna, której nie uprowadzono, jak się fałszywie domyślał Wolski, klęczała, płacząc. Przy niej stał ojciec, z rękami na piersiach i głową zwisłą. Kaszyc, szambelan, nieco opodal stojący, spoglądał na łoże. Na niem chorąży, na pół jeszcze ubrany, w rozpiętym ponsowym żupanie, który na nim potargano, napróżno zdjąć usiłując, leżał z głową na poduszkach wysoko umieszczoną, tak, że podbródki tylko mógł dojrzeć Wolski zdaleka. Z boku zaglądając, dojrzał otwarte usta, oczy otwarte, osłupiałe, blade, bez ruchu. Lecz pierś się zdawała zwolna poruszać i drgać jeszcze. Ciało jak martwe, nie zdradzało już życia.

Kiedyniekiedy zbliżał się Dubiski i brał zwisłą rękę, pulsu macając. Milczenie, które cichy płacz księżny przerywał—panowało w pokoju.

Majowa noc krótka miała się ku końcowi, w oknach szarzało już dnia brzaskiem.

Wolski, który winien był wszystko temu umierającemu panu, nie miał ani łzy na powiece, ani żalu w sercu; myślał o sobie. Stał na rozstaju— zginąć mógł albo się ocalić.

Jeżeli-by go kto do Nieświeża uprzedził, całe wrażenie, na które rachował, było stracone; a ktokolwiekbądź-by tam stanął przed nim, każdy świadczył-by tam i instygował przeciwko niemu.

Nie miał nikogo za sobą.

To uczucie osamotnienia czyniło go z trwogi okrutnym. Dzień, coraz jaśniejszy, przerażał go.

Ktoś już mógł być w drodze—z doniesieniem.

Wtem, doktor trzymający rękę, opuścił ją i odwrócił się do księdza biskupa.

Ten ukląkł i szepnął:

— Anioł Pański....

Gdy zabrzmiało — „Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie“, Wolski cofnął się pocichu ku drzwiom, w obawie, aby go co nie wstrzymało, otworzył je ostrożnie, wyszedł do pokojów i coraz żywszym krokiem począł biedz po wschodach.

W podwórzu błąkało się kilka osób. Obawiał się, aby go nie postrzeżono, i posunął się, po chwili namysłu, wprost ku stajniom.

Tu, po wczorajszych godach, spało jeszcze wszystko, ale Wolski też nie potrzebował nikogo. Sam pobiegł do najlepszych dwóch koni, którym trzęsle na łeb drżącemi z pośpiechu rękami ponakładał. Na kołkach wisiała uprząż, tuż w wozowni stały bryczki, z których najmocniejszą wytoczył, nie czyniąc hałasu. Szczęściem, o tej rannej godzinie nie spostrzegł go nikt.

W mgnieniu oka stały konie przy dyszlu. Ani odziewać się, ani zaopatrzyć na drogę, czasu nie miał Wolski; chciał być pierwszym w Nieświeżu.

Dzień się robił wielki—chwila jeszcze, a zamek cały miał się poruszyć wiadomością o zgonie, dzwony kościołów miały uderzyć — posłańcy wybiedz z doniesieniem.

Wolski już stał przy swej bryczce, gdy — nadbiegł ktoś z zamku. Był to szambelan Kaszyc, który taksamo śpieszyć chciał do Warszawy, aby komu innemu pierwszy dał wiedzieć o—starostwie, które zawakowało.

Zobaczywszy Wolskiego, zmieszał się nieco.

— Gdzie woźnice?— zawołał — ja natychmiast jechać muszę.

Wolski wcale mu nie odpowiedział; pilniejszem było dla niego daleko samemu śpieszyć z wiadomością.

Skoczył na bryczkę — i wśród ciszy poranka, a śpiewu słowików, zaturkotała ona po bruku podwórca, zahuczała w bramie, biegła już ulicą—i Wolski pierwszy wiózł żałobną wieść tam, gdzie ona jako radosna powitaną być miała.

Gdy opatrzono się, szukać Wolskiego, aby księdzu biskupowi Ptolemaidy był pomocą do przygotowań pogrzebowych, nigdzie go nie było na zamku, i nikt nie wiedział, dokąd się udał. Pary koni tylko i bryczki brakło w stajniach zamkowych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RÓŻA.

(Dokończenie).

Porównanie słów poetycznie pięknych z rozkoszą, jaką sprawia widok i woń pięknej róży, dało niewątpliwie początek rozmaitym legendom, chrześcijańskim i pogańskim jeszcze, o wypadaniu z ust ludzkich róż wraz z wyrazami. Już w języku starych Greków istniało wyrażenie: mówić różami, śmiać się różami, a poeta łaciński, Owidyusz, przy opisie nimfy Chloris przytacza, że z ust jej wypadały róże. Istnieje ludowa bajka francuzka o królewnie zaklętej na odwrót w sposób tak przykry, że z ust bardzo pięknych, gdy milczały, wypadały ze słowami — żaby. Baśni tej musiała dać początek jakaś piękna złośnica, coś podobnego do Szekspirowskiej Katarzyny. W średnich wiekach namnożyło się mnóztwo legend o kaznodziejach, już nie złotoustych, ale różanosłowych; do tych liczby należy Ś-ty Anioł, który, gdy mówił, uniesiony miłością Boga, róże padały na kazalnicę i napełniały ją.

Różę złotą, jako godło chrześcijańskiej cnoty niewieściej wśród blasków tronu, przesyłali papieże żonom monarchów chrześcijańskich. Po oswobodzeniu Wiednia przez króla Jana III, Marya Kazimiera otrzymała taką różę. Papieże święcą je w niedzielę Laterańską, to jest w niedzielę środopościa, w kaplicy kościoła Ś-go Piotra i klejnot ten, zwykle wyrobiony bardzo artystycznie, bywa wtedy zanurzany w wonnym balsamie i posypany piżmem. Błogosławieństwo papiezkie jest zwykle dołączonem do takiej róży złotej.

Dziwnym zwrotem wyobraźni róża wśród Wieków Średnich uważaną była za znak zbliżającej się śmierci. Wiara ta utrzymywała się głównie po klasztorach, gdzie kwiat róży, pochodzącej z ręki niewidzialnej, oznajmiał koniec ziemskiego żywota. Przy ascetycznem usposobieniu chciano snadź widzieć w róży przez anioła śmierci przyniesione wezwanie, oznajmiające blizkie połączenie z Bogiem duszy, do niego tęskniącej. Gdy zakonnik znalazł na swoim pulpicie wśród chóru różę, wiedział, że umrze za dni trzy i jest w Niemczech padanie, jakoby w Lubece opat Rabundus, przyszedłszy pierwszy na modlitwy poranne do chóru, różę na nutach swoich leżącą znalazł, i zlękłszy się tego kwiatu śmierci, na pulpit sąsiada go przełożył, a ten wiedziony podobnem uczuciem, tosamo uczynił i róża śmierci przekładaną tak było po kolei aż do pulpitu najmłodszego braciszka. Przecież Rabundus na trzeci dzień umarł, lecz od tego czasu duch jego na trzy dni przed śmiercią każdego opata znać o niej dawał, przez trzykrotne zapukanie w pulpit jego z chwilą rozpoczęcia się jutrzni. W miejskich aktach Lubeki już z XVII wieku znajdują się świadectwa podpisane znakiem krzyża przez ludzi, utrzymujących, że pukanie to w stanie trzeźwym i spokojnym słyszeli dwukrotnie przed zgonem dwóch opatów miejscowego klasztoru.

Róża, obok legendy religijnej ma drugą historyą swoję, istniejącą w baśniach i pieśniach wszystkich ludów świata, a wszędzie oznacza ona piękność, młodość' wszędzie jest posłaniem miłości i obrazem czystego, dziewiczego piękna. We Francyi Ś-ty Medard, pan lenny na dobrach Salency, ufundował jeszcze za czasów Klodowingów coroczne wieńczenie różami najskromniejszej, najcnotliwszej dziewicy w Salency, która dostawała tytuł *dziewicy róż*: „La rosière“ i posag, znakomity na owczesne stosunki, a który kroniki podają na 25 liwrów złotem. W wielu miejscach Francyi ustanowiono z biegiem czasu podobne nagrody cnoty dziewiczej; w Anglii obierają po niektórych gminach wiejskich dziewicę róż, w odmiennej przecież formie i znaczeniu, bo tu przyznaje ten tytuł młódź wiejska najpiękniejszej. W Alzacyi w dniu pierwszego Maja przystrajają kwiatami, wstążkami najpiękniejszą dziewczynkę wioski i w ten sposób przebraną za majową różyczkę oprowadzają po wsi, zbierając datki na obchód majówki, a raczej majowego, wiosennego święta, które z pewnem podobieństwem do naszego święta Kupały w lesie obchodzą, tańcując w koło majowego drzewa. W Niemczech Południowych święto wiosny podobnie, ale w samej wsi, obchodzą, a za czasów Minnesingerów, czyli śpiewaków miłosnych, odbywało się to w ogrodzie, różami zasadzonym, gdzie śpiewacy ci, jak niegdyś poeci greccy na igrzyskach, współubiegali się ze sobą, a wieniec róż otrzymany z rąk najpiękniejszej dziewicy był im nagrodą. Ztąd też istnieje w Niemczech niezmiernie wiele piosenek, dziś przeszłych do ludu, o ogrodzie różanym, gdzie się kochanek z kochanką spotyka, róże razem zrywają, róże na pamiątkę, i zakład miłosny dają sobie. Wieniec z róż dawały też dziewice rycerzom, na turniejach walczącym; w starych kronikach rycerstwa szranki turniejowe różanemi ogrodami się nazywają, co przecież musiało być tylko wyrażeniem figurycznem, weszłem może w zwyczaj językowy przez owe zapasy Minesingerów, odbywane wśród ogrodów różanych. Przecież miejsce turniejów pod Wormacyą jest opisane jak rzeczywisty ogród różany przez pieśń, do cyklu Niebelungowego należącą, gdzie olbrzymy walczą o różany wieniec przez Grymhildę zapomniany. Jest także w podaniach niemieckich pieśń o ogródku rożanym króla karłów, a raczej małoludków, Laurinsa, w Tyrolu. Ale wielkie szranki turniejowe pod miastem Rostokiem także różanym ogrodem są w podaniach nazywane, choć w aktach miejskich z czasów średniowiecznych jest wyrażonem, że znajdowało się na tych polach, do miasta należących, tylko siedm wielkich lip. Legenda niemiecka o wielkim ogrodzie różanym, kędy odbywały się turnieje, jest w Niemczech bardzo rozpowszechnioną, lecz sprawdzić się nie daje, ponieważ w każdej okolicy ów ogród różany gdzie indziej podanie mieści i Uhland, który te legendy i podania zbierał i badał wnosi, że Niemcy podanie o różanych ogrodach przynieśli ze sobą ze swej pierwszej, aryjskiej ojczyzny, od Persów je wziąwszy. Ze świętem wiosny złączone, przeszło do zapasów rycerskich i Minnesingerów.

Róża, kwiat poetyczny, nie chciała się przecież z niemieckiem piwem pogodzić i do dziś dnia utrzymuje się w Niemczech uprzedzenie, że róża zaniesiona do piwnicy, gdzie piwo jest trzymane, sprawia jego kwaśnienie i nawet dość jest naczynie z piwem blizko róży postawić, dzban piwa różami uwieńczyć, aby skwaśniało.

We Francyi jest to wiarą między ludem rozpowszechnioną, że róża, jako kwiat Matki Boskiej, nie dopuszcza zbliżenia się złego ducha i takowego odpędza, że czarownica nigdy róży nie nosi, bo ta albo jej się urwać nie pozwoli, kolcami do krwi kłując, albo natychmiast w ręku jej więdnie. Opętani przez szatana zapachu róży znosić nie mogą, i nawet za żadną cenę koło krzaku róży nie przejdą, a wilkołak, jeżeli się o krzak róży zaczepi, natychmiast swoję ludzką postać odzyskuje. Wiara ta istnieje także w Niemczech Południowych, do pewnego stopnia utrzymuje się i w Anglii, choć tam już kwiat ten wraz z usunięciem religii katolickiej takiego, jak we Francyi, znaczenia mieć nie może. Wiara przecież, przyniesiona zapewne przez Normanów, trwa i lud angielski widzi zawsze w róży kwiat, przeciw złym mocom potężny i uzdrawiający. Krew puszczoną choremu zlewają tam zawsze pod krzak róży, co było w Średnich Wiekach ogólnie, nawet przez lekarzy zalecanem, a medycyna ówczesna przyznawała róży bardzo wielkie lecznicze znaczenie; zapach róży miał wzmacniająco na mózg i w ogóle na ducha oddziaływać, odwar róży żołądek wzmacniał. Woda różana była też uważaną powszechnie jako środek upiększający płeć, i używanie wody różanej do mycia twarzy i perfumowania pokoi było jedną z przyczyn, dla których prababki nasze wielką ilość róż po ogrodach hodowały. A jaka to była uroczystość, jaka robota miła, gdy tysiące wonnych centofolij na białych płótnach wśród największej w domu komnaty jadalnej rozpościerano i służba kobieca, panienki, dzieci zasiadały na małych stołeczkach na posadce i wonne płateczki obrywano, aby z nich, natychmiast w alembik nabijanych, woda różana się czyniła! A na tę operacyą jak ciekawie dzieci patrzyły, z jaką radością odbierały potem swoje buteleczki wonnego płynu! Dziś już tego wszystkiego po dworach wiejskich niéma, perfumy się kupuje, a choć są niewątpliwie wonniejsze, woń to jednak inna... szkoda tamtej...

Róża, cukrową zwana, drobniejsza i bledszej nieco barwy niż centofolia, a wcześniej niż tamta kwitnąca, już zwykle na Boże Ciało rozwinięta, używana była i jest dotąd u nas do wianków na to święto witych, i do kościoła odnoszonych, gdzie poświęconemi zostają i służą do okadzeń uzdrawiających. Okadza się niemi domy i zabudowania gospodarskie: obory, owczarnie i gumna. Do wianków tych używa się wielu ziół aromatycznych, jak macierzanka, maruna, bożedrzewko, piwonia, ale też i innych, jak rozchodnik, rosiczka, grzmiotek i pewien rodzaj bardzo pięknego ostu, błękitnej barwy w liściach i łodydze, przez lud dla tego, że najwięcej na miedzach rośnie, zwany: *Ani mnie, ani tobie*, a święci się on w wiankach od złego sąsiada. Do tych wianków różyczka cukrowa mieszaną bywa jako kwiat Matki Boskiej, ale więcej po dworach, lub u dworskich przez naśladownictwo, lecz po chatach, gdzie tradycya dawna surowiej jest obserwowaną, nigdy tego nie czynią i zdaje się, że róża weszła tam wiele później, przez nabożeństwo do Matki Boskiej, gdy wianki są niewątpliwie z czasów pogańskich zatrzymanym zwyczajem pobożnym, bo róży dzikiej, leśnej, nietylko nigdzie do nich nie mieszają, ale mieszać nie dają.—Dla czego? —Nie godzi się... Pozostały dziś słowa, gdy tradycya zasady ich, już zatraconej, nie ocaliła.

Róża i u starożytnych Greków uważaną była za moc złe oddalającą, zabijającą ptaki drapieżne i robactwo przykre. Ciekawą-by też było rzeczą wiedzieć: co dzisiejszy lud grecki z dawniejszej czci tego kwiatu zachował, co się przechowało tam w pieśniach i baśniach, co do obrzędów i zwyczajów nowożytnych z tego weszło? Turek, zapach róży wraz z całym Wschodem wysoce ceni i prawdziwy olejek różany, z wysp greckich pochodzący, jest tam kosztownością drogocenną: więc też i róża sama należy do ulubionych kwiatów w ogrodach serajów sułtańskich, a w haremach róża stanowi ozdobę piękności, szczególniej miłą, lecz i tam róża zachowała swój szczególny przywilej: cechę świętości, cudowność i Mahometanin wierzy, że róża urodziła się z kropli gorącego znoju, którym pocił się Mahomet, gdy objawienie Boże na niego zstępowało.

U Arabów nie spotykamy szczególnego do róży zamiłowania, u Hebrajczyków róża Saronu służyła za wzór piękna, i dziewica w świeżym uroku swych wdzięków, porównywana jest przez Salomona z różą Sarońską. Róża Jerychońska z legendą już chrześcijańską, cudownego rozkwitania w każdą noc Bożego Narodzenia, choćby po wielu latach po zerwaniu, w stanie suchym pozostawała, nie jest właściwie różą. Rośnie nietylko w Jerycho, ale na całem piaszczystem wybrzeżu Morza Śródziemnego i jest drobną roślinką drzewiastą z rodziny głowiastych, która, obumierając, silnie się w kłąb zwija, lecz w wodę wrzucona, chwilo-

wo się znów rozpręża, co dało początek legendzie. Istnieje jeszcze, już też z czasów chrześcijańskich hebrajska legenda, jakoby pierwsza róża zakwitła wśród popiołów stosu spalonej męczennicy. Moore legendę tę wierszem podał i zdaje mi się, że istnieje jej przekład polski, przez Odyńca dokonany.

W Persyi przecież utrzymało się, przez wieki niezmienione, młodzieńcze ludzkości ulubienie, uwielbienie róży. I w Indyach, w Kaszmirze, są po dziś dzień rzeczywiste ogrody różaną. „Gul sad berk“ stulistna róża kaszmirska, najcenniejszy olejek wydaje, a skoro zakwita, jest to w całej tej krainie czas święta i uroczystości. W 1519 roku, gdy prawnuk Timura, Babur, kraje te zdobył, zadziwiła go mnogość i wspaniała piękność róż, które w koło siebie widział, niemniej Persya tylko jest prawdziwą krainą róży i ztąd rajem ziemskim zwać ją można. Domy, ogrody, dziedzińce są wszędzie niby wielkim gajem różanym; Kom, święte miasto Persyi, zdaje się być w kwitnącym klombie róż umieszczone, a w królewskiej księdze Firdusiego poeta w zachwycie woła: „Massenderan godnym jest pamięci szacha, bo tam to róża kwitnie zawsze!“

W całej Persyi przecież róża ma zapewnione sobie kwitnienie wieczne wiosny i lata niezmiennego, bo poezya perska stworzyła jej tę czarowną krainę ideału, w której niéma czasu i zimy. Róża jest przecież w Persyi jakgdyby talizmanem nietylko dla marzeń poety, ale i dumań filozofa. Gul, piękność wiotka i nikła, przypomina mu coś nad nią wyższego: trwałe piękno ducha, czyli dobro, mądrość, i oto poeta, Saadi z Szyrazu, pisze „Gulistan“, ogród rożany, w którym kwitną owe kwiaty cudowne ludzkiego ducha, bo zbiór to jest parabol, legend, zdań poważnego namysłu nad życiem i przeznaczeniem człowieka. Twórca Gulistanu był raz smutny, rozżalony na bieg spraw tego świata, na ludzkość, od której chciał się nazawsze odwrócić, aż uspokojony przez noc, cicho przepędzoną wśród piękna natury, wśród ogrodu różanego w chwili jego wiosennego rozkwitu, powiedział rano przyjacielowi, róże rwącemu, że on zbuduje piękno trwalsze, nieprzemijające i napisał książkę, której literatura nasza posiada dwa przekłady. Jeden przy komplecie dzieł Saadego, dokonany przez uczonego oryentalistę z Biberszteinu Kazimirskiego, wydany nakładem Biblioteki Działyńskich w Kurniku 1876 r.; drugi bardzo stary: *Perska księga, na polski język przełożona, od imci pana Samuela Otwinowskiego, sekretarza Jej Kr. Mości Zygmunta III.* Rękopismo tego ostatniego przekładu, odnalezione kędyś przez Kraszewskiego, wydane zostało przez Bibliotekę Ordynacyi Krasińskich, z funduszu Świdzińskiego.

Hafis, inny perski poeta, zapatrzony w różę, duma nad tem żałośnie, że przekwitnąć ona musi, że piękność, wdzięk ponętny musi ze świata znikać, lecz pierwsze jesieni podmuchy znajdą go już spokojnego przez rezygnacyą, z którą woła:

Hafisie! niech się duch twój na wiatr chłodny [nie zżyma,
Bo cóż jest wieniec róży? Czyż każda kolców [niéma?

Ale jest w tych urokach, które piękność wdzięczna rozlewa, czar opłacający cierpienia i poeta Ferid, niby w odpowiedzi tamtemu, pyta tkliwie:

Czyżby słowiczek był tak żałosny
Gdyby nie kwitła róża wśród wiosny?
Czyżby tak różę piękność odziała,
Gdyby słowicza piosnka nie brzmiała?

Miłość róży: Gul, i słowika: Bulbul, natchnęła wielu poetów perskich. Bulbul, to kochanek nieszczęśliwy wyniosłej, srogiej Gul, o której poeta Rhami wyraża się z goryczą, że rumieni się krwią zamordowanych kolcami swemi słowików. Lecz największym już utworem poezyi perskiej w tym przedmiocie jest dzieło poety Fasli, którego poemat jest romansem w naturze. Piękność dziewicza, róża, rozkwita; szach *Wiosna* przysyła jej uczonego mistrza, aby ją kształcił i cała natura służy jej jako pani swojej. Porankiem woda przysyła jej zwierciadło rzeki, lecz wschodni wietrzyk, który ją przy porannej toalecie i myciu się rosą podpatruje, spotyka się w dolince górskiej ze słowikiem, opowiada mu jak jest piękną czarodziejka, ostrzegając go przecież przed miłością bez nadziei. Ale któż takich przestróg słucha? Słowik leci do gaju róży, pozyskuje sobie strażnika, cyprys i róża słyszy wśród nocy pieśń słowika, jego wyznania, skargi, tęsknoty, które wiatr wschodni, stający się posłem między kochankami, róży zcicha, ukradkiem przynosi. Ale hyacynt i cierń spotwarzają śpiewaka, obgadują go przed różą i przed wiosną, słowik zostaje schwytanym i zamkniętym w krzaku cierniowym. Ale szach *Lato*, wydaje wojnę szachowi *Wiosna*; słońce i palący wicher południowy, Samum, uderzają na wiosnę i zmuszają do ucieczki w góry. Słowik już nie śpiewa, róża stoi smutna; skwar słoneczny gaj oniemia, gdy wtem szach *Jesień* wpada nagle do gaju i zdobywa go. Staje się w nim szmer, szept, głucha skarga lata, lecz oto nadciąga od Zachodu szach *Zima*, wysyła do gaju dwóch pułkowników swoich: mroźny wiatr i ostry szron, wreszcie głównego wodza: śnieg i wszystkie potęgi, dawniej tu rządzące, zostają w jasyr wzięte, na niemoc skrępowane. Zima panuje posępnie i surowo, milczenie głuche rozpostarło się wokół, lecz wiosna wykrada się tajemniczo do szacha *Porównanie dnia z nocą* i błaga pomocy przeciw zimie na posłuchaniu, które jej potężny mocarz udziela w tajemnicy przed wszystkiemi tworami świata. Chwila, wyznaczona na to, jest krótką; niemniej wiosna pozyskuje sobie sprzymierzeńca; zima trapiona podjazdową a nieustanną wojną, cofa się, aż w końcu ulega, uchodzi wąwozami kędyś poza góry, róża budzi się z odrętwienia, wspomina słowika i wzdycha, tęskni, przegina się wybujałą kibicią swoją w stronę jego więzienia i widzi go, więc przyzywa wietrzyk wschodni i błaga, aby uprosił wiosnę o uwolnienie miłosnego pieśniarza z zamknięcia. Staje się to wkrótce: skrzydlaty kochanek wzlatuje ku rumieniącej się kochance, która kwiat swój wonny rozwija i łączy ich węzeł słodki wiecznego hymenu.

Fasli opatrzył swój śliczny dramat w naturze mistyczno-filozoficznemi przypisami, opierającemi się na dawnej perskiej wierze Gwebrów, czyli czcicieli ognia. Ktoś, żyjący już po nim, dodał inne, według których róża ma oznaczać Allacha, słowik ducha ludzkiego, który w bóztwie rozkochany, wznosi głos ku niemu: tęskni, cierpi, pokutuje, aż wkońcu jest mu dana łaska, jednocząca ducha ludzkiego z duchem Boga.

Są to przecież wszystko allegorye sztucznie naciągane, niepodnoszące bynajmniej wartości dzieła, która leży w jego piękności poetycznej, w obrazie tego gorącego uczucia miłości ziemskiej, ludzkiej, wiążącej przecież dwa serca wzruszone na szczęście i nieszczęście, dolę i niedolę żywota. Przedmiot to jest właśnie dla poezyi, która ma na tym gruncie swoje odwieczne, przepotężne prawa od czasu tej pierwszej piosenki, którą człowiek, jak słowik, zaśpiewał niewątpliwie pod siłą tęsknot i nadziei miłosnych. Patrząc na gwiazdy i ruch ich spokojny przez błękity, patrząc na błękitów owych przestwory niezmierzone, człowiek począł się modlić do Boga, ale tylko przez miłość, przez pragnienie przytomności, wzajemności ukochania swego, stał się poetą—stworzył pieśń i zaśpiewał ją. Piękno natury oddziaływało wtedy na nie gosilniej; szukał w niem postaci dla zachwytów swoich, echa dla skarg i żali, a miłość wydała mu się być zagadką świata całego, jak śpiewa w gaju różanym inny poeta perski, Dżeladin-Rumi:

Powiem ci, czemu wietrzyk poranny wieje?
To miłość róży kwiatami słodko chwieje.
Powiem ci, czemu noc rozwiesza zasłony?
To świat w miłości namiot jest zamieniony.
Wydam ci wszystkie tajemnice stworzenia,
Bo miłość klucz jest wszelkiego zagadnienia.

Inny jeszcze poeta, Szemsi, dodaje, że jak derwisze w księgach swoich, tak słowik czyta na listkach róży spisane tajemnice owe. Kreśli je na nich nocami wiosennemi duch poezyi, a przez powszechność poetycznego natchnienia wie o tem równie nasz poeta, Asnyk i podaje genezys tego, w jaki sposób z piersi ludzkiej wyszłe, mogą się one rozproszyć wśród natury, znaleźć na wonnych płatkach kwiatu:

Nie mogąc tłumić dłużej
Najsłodszych serca snów,
Na listku białej róży
Skreśliłem kilka słów;
Słowa, co w piersiach grały,
Nie wymówione w głos,
Na listkach róży białej
Rzuciłem tak na los.
Nadzieje, którem pieścił,
I smutek, co mnie truł.
Wszystkom ja tam umieścił,
Com marzył i com czuł.... (El-y, Poezye [tom I).

To, co jest nadzieją, którą pieścimy, i smutkiem, co nas truje, to, co gra w piersiach, nie wymówione nigdy w głos — miłość idealna, niezadowolona wśród smutnych życia stosunków: ona-to ciepłem z własnego naszego serca wziętem, bezwiedne piękno natury ożywia, dramatyzuje, uduchowia i z róży smętną kochankę, ze słowika nieszczęśliwego kochanka czyni. I nie jest to już wtedy bajka starych poetów perskich, ale prawda najprawdziwsza, są to rzeczywiste cierpienia i zawody, rwanie się i walki, w których zamknięta jest zagadka stworzenia. Do ich liczby należy i to, że róże kwitną i wonieją nam rzeczywiście póty tylko, póki serce kocha i poezyą młodości w piękność przyrody wcielać umie; dobrze też czyni ta dziewczyna Asnyka, gdy w innym jego wierszu powiada:

Gdy ostatnia róża zwiędła,
Rzekłam chłopcu: idź!
Zerwała się złota nić,
Którą miłość przędła. (El-y. Poezye [tom III).

M. I.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Czerwcu 1882 r.

Doroczna Wystawa Sztuk Pięknych w Paryżu. — Ogólne wrażenie: lichota, mierność, brak zupełny ideału i smutne oznaki upadku sztuki.—Krytyka i sąd o Matejce.—Pięć posągów Kamilla Desmoulins'a.— Stosunek odwrotny postępu w malarstwie, do dzisiejszej ceny obrazów.—Carolusa Durand'a, obraz religijny.—Zdziwienie powszechne.—Artyści polscy na tej wystawie: Brandt, Gąsowski, Bakałowicz, Chełmoński.—Rzeźbiarstwo, Cypryan Godebski.—P. Antokolski i jego marmurowy paleot.—Wystawa retrospektywna malarza Courbet'a.

Chociaż *Odetta*, *Rozwiedźmy się*, a nawet *Pot-Bouille*, używają sławy i wziętości uniwersalnej, chociaż publiczność nasza karmi się chciwie temi okruchami francuzkiej kuchni, chociaż artyści nasi i artystki nie znają nic, coby im lepiej przystawało nad występ w tych sztukach francuzkich; chociaż... to i owo, przyznać jednakże należy, że od pewnego czasu, poziom intelligentności w literaturze i w sztukach we Francyi, zniża się coraz bardziej...

Dosyć jest wziąć do ręki pierwszą lepszą powieść, że się w tej chwili ograniczę do belletrystyki, żeby się spostrzedz, jak oni stoją dziś daleko niżej, nie mówię już, od własnych, niedawnej jeszcze przeszłości pisarzów, ale nawet i od pisarzów świata całego. Ratuje ich jeszcze rozpowszechnienie języka po całej ziemi i ogromny zastęp piszących, którzy bezustanku przynoszą na pastwę publiczności, nieskończoną liczbę *wyrobów pióra*, bo nie można powiedzieć wytworów umysłu lub ducha.

Tenżesam rozstrój i tenżesam nawał wyrobów spotykamy w sztukach. Właśnie zamknęły się wrota dorocznej paryzkiej wystawy sztuk pięknych. Prawdziwie, że rozpacz przejmuje umysł

człowieka, który widzi przed sobą ogrom zużyty materyałów i czasu, i wśród tej powodzi numerów *5000 bez mała*, ani jednego dzieła, ani jednego utworu, przed którym możnaby się zatrzymać i powiedzieć: A! nakoniec znalazłem człowieka! Materyalizm ogarnia i pochłania wszystko. Niéma kraju na ziemi, gdzieby technika, sposoby i sposobiki malarskie i rzeźbiarskie stały wyżej, niż tutaj. To, co są oni zdolni wykonać pendzlem i dłutem, przechodzi pojęcie; jestto coś, co dochodzi do ostatniej doskonałości i wprawy, jest jakby dokładnością Chińczykom właściwej biegłości; ale też pokazuje to zarazem, że sztuka jak ją pojmuje wyższy, wykształceńszy umysł człowieka, że ta sztuka nie ma nic wspólnego z przemysłem.

Jeden z tutejszych krytyków, który używa wielkiej wziętości u publiczności francuzkiej i poza francuzkiej, mówiąc o obrazie Matejki, w czasie kiedy *Bitwa pod Grunwaldem* znajdowała się na wystawie w Paryżu, wyraził się, jakby z intencyą lekceważenia, którem oni częstują zwykle obcych artystów, w artykułach nieopłaconych z góry: „Jestto obraz taki, jakie malowano u nas, temu jeszcze lat pięćdziesiąt“ — powiedział. Otóż niechcący i nieumyślnie, krytyk ów wyraził największą prawdę i ocenił najsprawiedliwiej, czem jest dziś malarstwo we Francyi. Jestto rzecz niezaprzeczona, że malarz polski należy do tej szkoły artystów, których dziś ani śladu nie zostało we Francyi. Matejko maluje tak, jak malowali: Ingres, Delacroix, Delaroche i t. d. Matejko nietylko maluje, ale tworzy. Nie chodzi mu wcale o mniejwięcej zręczne zasmarowanie płótna, ale chodzi przedewszystkiem o wyrażenie, o ustalenie na tem płótnie myśli, która się porusza w duszy jego! Owoż tego próżno byłoby szukać dziś we Francyi. Malarze i snycerze, zaprzątnieni jedynie tą myślą, aby w użyciu technicznych środków prześcignąć swoich współzawodników i odkryć jaki nowy, nieznany sposób zrobienia effektu, ani się troszczą wcale o moralne, intellektualne wrażenie.

I tak, naprzykład, na tegorocznej wystawie snycerstwa mieliśmy pięć posągów Kamilla Desmoulins'a. Czyż myślicie, że choćby jeden z tych pięciu snycerzy położył sobie zadanie — zgłębić, zrozumieć tę wydatną postać człowieka, który tak ważną odegrał rolę w pierwszej Rewolucyi Francuzkiej? Czy usiłował który z nich uosobnić w tej postaci albo wielką myśl jaką tego olbrzymiego przewrotu, albo wybitną cechę charakteru tego człowieka? Bynajmniej. Każdy starał się przesadzić współzawodnika wyszukaniem gwałtowniejszego ruchu i postawy tego, który był jakby uosobnieniem *tribunitiae potestatis* Wielkiej Rewolucyi, tak, że któryś karykaturzysta bardzo sprawiedliwie, przerysowawszy te pięć postaci, podpisał pod każdą: „Desmoulins, oplatacz krzeseł (rempailleur); Desmoulins, handlarz lornetek, kapelusznik, szewc i t. d., wskazując to, co najbardziej było przesadzonem w tej śmiesznej postaci trybuna. A przecież wykonanie każdego z tych posągów, jako wyrób praktykanta, było nieposzlakowane. Czegoż mu brakło? oto życia, prawdy i ducha!

W malarstwie próżnobyśmy szukali jakiejś wybitnej indywidualności, jakiegoś dzieła odznaczającego się natchnieniem, albo wyższą myślą, wyższem pojęciem sztuki. Powszednie pomysły i powszednie środki zagarnęły wszystko. Zapewne, że ta wprawa i biegłość techniczna ma swoje znaczenie, że bez niej trudno jest wykonać dzieło prawdziwej, artystycznej wartości. — Tak, ma ona swoje znaczenie w sztuce, ale sama nie może zastąpić wszystkiego. Są pewne gałęzie sztuki, w których ona odegrywa pierwszą i najważniejszą rolę, naprzykład w akwarellach. To też szkoła dzisiejsza francuzka doszła w tym względzie do nadzwyczajnej doskonałości. Dziś jest tu kilku mistrzów tego rodzaju, którzy podobnych sobie malarzy na całym świecie nie mają.

Tegoroczna więc wystawa sprawia na nas przykre wrażenie i zostawia to smutne przekonanie, że od kilku już lat spostrzeżone dążenie wsteczne w dziedzinie sztuki dziś już dotykalnie daje się pochwycić. A przecież materyalne warunki nigdy może nie były równie korzystne dla artystów, jak dzisiaj. Obrazy popłacają, jak nigdy; artyści, nawet miernego talentu, znajdują łatwy odbyt obrazów, a ci, których reputacya jest ustaloną, dochodzą do posiadania prawdziwej fortuny. Gdyby się godziło przytoczyć tu taryfę wykazującą cenę i obok nazwiska malarzy, zobaczylibyśmy z zadziwieniem, że to, co się uważa za potrzebne niezbędną do tego, aby kwitnęły i rozwijały się sztuki piękne, to jest łatwy i korzystny odbyt wyrobów, nie jest wcale warunkiem doskonałości i piękności, jakich należałoby się spodziewać od dzieł tworzonych w tym stanie pomyślności handlowej. Zdaje się nawet, że w ten sposób sztuka staje się rzemiosłem — i że idealny jej postęp upada.

Sądzę, że należy już poprzestać na tych ogólnych uwagach o tegorocznej wystawie, nieszukając głębszej analizy, z którejby wypadło w końcu wyciągnąć tenżesam wniosek: *Rari nantes in gurgite vasto*. Rozumiem jeszcze, że dla tutejszej publiczności może być zajmującą rzeczą zdanie sprawy nawet z miernych, bardzo miernych obrazów, bo to swoi i wszystkim tu znani artyści; ale dla polskich czytelników byłoby to zbyteczną i nużącą rzeczą. Przejdziemy więc do przedmiotów, które nas mogą więcej zainteressować niżeli zaregestrowanie cudzoziemskich nazwisk. Jednakże przed zapuszczeniem zasłony, niech mi wolno będzie powiedzieć słówko o obrazie, który wywołał ten powszechny okrzyk zadziwienia z powodu malarza i z powodu przedmiotu.

Sztuka równie jak wszystko ulega tu modzie i idzie za prądem który unosi wszystko. Rozpasanie wszystkich namiętności antireligijnych, sprowadziło tu i zupełne zaćmienie religijnych obrazów. Niéma czego żałować, bo malowanie religijnych przedmiotów, jak je pojmują i traktują Francuzi, jest tak dalekie od tego uczucia, którem oddychają obrazy starych malarzy, jak dalekiem jest dla nich samo dziś uczucie wiary. Niéma więc czego żałować, powiadam; ale to nam wytłómaczy owo zdziwienie, z jakiem powitano zjawienie się na wystawie „Złożenie do grobu Chrystusa Pana“, przez Karolusa Durand. Znany portrecista *high-life'u*, pobudzony może uczuciem sprzeczności, — bo to jest w jego charakterze — stworzył ten obraz.

Nie potrzeba tu szukać ani głębokiej wiary Prerafaelitów, ani delikatności pobożnego uczucia Urbinata i jego uczniów. Nie: jestto obraz traktowany w rodzaju Van-Dycka, którego manierą i stylem widocznie się przejął p. Durand. Lecz jeżeli panuje tu zupełny brak religijnego uczucia, są przynajmniej wielkie zalety pendzla i kolorytu, które w części okupują niedostatek tego, czego żadna nauka i talent nie są dać wstanie. Tak oddawszy to, co się komu należy, przechodzę do tego, co nas może więcej dotykać: do naszych artystów na tej wystawie.

Zaczynam od tego, który mi jest najmilszym, od Brandta. Duży ten obraz dobrze już znany w kraju — jestto jarmark w Bałcie na Podolu. Teraz kiedy Bałta tak smutnie zasłynęła po świecie, że nawet i Francuzi o niej gadają, obraz przypominający tę miejscowość, jest zupełnie na czasie. Ale niestety! spokojny i porządny nasz artysta, razem rozruszał się tu i wpadł w taką furyą, na jaką chyba Francuz tylko zdobyć się może. Nie jestto zresztą cały jarmark Bałcki, ale kawałek z jarmarku, jedna cząstka z tej epopei prawdziwie homerowskiej, w jakiej się zwykle odegrywa nasz jarmark; wypadkiem jest tu łapanie kupionego konia z tabunu. Widzicie ztąd tartas i skweres. Pył kłębami powstał od ziemi, w tym kurzu zniknęła Bałta, ziemia i słońce, a w środku tej zawieruchy, szalonym wirem tłoczą się ludzie i konie.

Zapewne, dobrze to schwycone, pełno tu uczucia prawdy, ale, niestety, w tej zawierusze nic dobrze rozpoznać się nie da. Malarstwo jestto sztuka plastyczna, i aby całkowity sprawić effekt, potrzebuje w gwałcie nawet pewnego spokoju. To też, rozpatrując i podziwiając wiele dziwnych i pięknych szczegółów, zawsze oczy moje szukały dawnego, starego Brandta. *Pochód w stepie* ciągle mi stał w myśli, i tak marzyłem sobie, że Brandt nam maluje Jeremiego Wiśniowieckiego pod Zbarażem albo pod Beresteczkiem, kiedy bez hełmu z odkrytą głową a podniesioną szablą, lewe skrzydło swej kawaleryi do zwycięztwa prowadził, prowadził jakby uragan szalony! Wszak dla koniarzy, co tak dzielnie malują, jakże to piękne i ogromne pole, ile-to rzeczy leży niedotkniętych na naszej niwie i jaki to plon do zebrania! ile-to chwały i dla siebie i dla nas może zebrać taki artysta, jak Brandt! Zapewne i jarmark to rzecz ciekawa, ale kiedy mamy coś lepszego, wznioślejszego, piękniejszego, czemuż nie sięgnąć po to? Taki artysta, jak Brandt, powinienby, ma obowiązek sprobować. Niech przeczyta kartę z Paska, a potem co natchnienie i zdolność przyniesie — z Bogiem i ku Bogu!

Ale tego roku wszystko miało pójść niesfornie, i u nas, i u obcych. Miałem artystę, w którym pokładałem wielkie nadzieje; oddałem mu wielkie i zasłużone pochwały. Jestto pejzażysta p. A. Gąsowski: otoż i on tego roku nie zadowolił mojego oczekiwania. Mieliśmy duży obraz, rozległy horyzont, ale niestety! są to wysiłki biegłości, a nie jedna z tych kart, które zostają związane nazawsze z nazwiskiem i z indywidualnością artysty. Taki obraz, jak to: *Wspomnienie Zatoki Arkaszońskiej w czasie mglistego poranku*, mógłby podpisać jakibądź malarz, i niktby nie przyszedł upominać się, że to jest własność naszego artysty. *Mglisty poranek* już tosamo zapowiada coś niepewnego, niewyraźnego, jednem słowem mglistego. To spokojne, jak go tam nazywają Żyrondyści, *Oliwne morze*, mybyśmy powiedzieli maślane; te płaskie brzegi piaszczyste bezludne, te sterczące samotnie żerdzie z obwisłą siecią i niebo mgliste i blade, i ziemia blada i pusta: może to być bardzo pociągające a trudne studyum artystyczne, ale to nie jest pejzaż.

Dobra to rzecz specyalność, byleby jej nie było nadto. Nasi artyści tutaj, jakgdyby umyślnie, każden ma swego konika z którego nie złazi. Zdaje mi się, że znam powód do tych specyalności. Są oni w rękach nakładcy, który, jedno tylko mając na celu, jaknajwięcej zarobić pieniędzy, exploatuje specyalne zdolności każdego i trzyma wszystkich, jak na uwięzi. Są to czasem niezbędne okoliczności zawodu i życia. Jestto również wynalazek nowy, to przedsiębierstwo artystyczne; daje ono natychmiast środek wyjścia z kłopotu i z biedy — ale stanowi szkopuł, o który nawet prawdziwy talent może się rozbić i zejść na zero. Ta robota na obstalunek, na handel, a zawsze w jednym kierunku, przemienia artystę w pewien rodzaj wiewiórki, albo w konia młyńskiego obracającego się bez przerwy w tym nieustającym deptaku, a zawsze na jednem i temsamem miejscu. Jeżeli po kilku latach takich ćwiczeń artysta pozostanie w posiadaniu dawnego talentu, można to uważać za prawdziwy cud Boży...

P. Bakałowicz, nie wiem czy się znajduje w tym wypadku, czy nie? ale powtarzające się rokrocznie obrazy, których przedmiotem są jedne i teżsame lalki, mające wyobrażać dworaków i wielkie panie z czasów Henryka III we Francyi, każą się domyślać, że ta specyalność, tak uporczywie wyprowadzona na scenę, musi mieć swój powód inny, niż zamiłowanie przedmiotu przez malarza. Oddawna już, oglądając te obrazy p. Bakałowicza, nie widzimy w nich bynajmniej postępu artystycznego. Te wnętrza salonów i pokoi są zawsze teżsame, z innej tylko widziane strony. Obicia, materye, meble, teżsame zapewne, ale niemogą być odmienne, kiedy są z jednej i tejże epoki, odpowie nam malarz! Ale przecież wszyscy nie mieli jednych i tychżesamych tapicerów i krawców! A ludzie a kobiety? Teżsame zawsze, mamy ich pewną liczbę, królów, waletów i dam, jak w kartach do grania. Tylko jedni są czerwienni, drudzy żołędni i t. d. Na szczęście idzie to wszystko gdzieś za morze do Ameryki i ginie na jej obszarach!

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Córka pana Fabrycyusza, dramat w 4-ch aktach, Adolfa Wilbrandta, z niemieckiego tłomaczony. — **Wujaszek Alfonsa**, krotochwila w 1 akcie, oryginalnie przez Stanisława Dobrzańskiego napisana.— **Marynarze**, obraz sceniczny w 1 akcie, A. Theuriet, wierszem, z francuzkiego.

Orestes Eschylosa mści się za ojca swego, córka pana Fabrycyusza mści się za siebie i za ojca: a jedno i drugie bierze pomstę na własnej swej matce. Rozmiary zemsty w obu wypadkach różnią się tak, jak się różni świat podaniowy grecki od rzeczywistego świata naszego, jak różnią się ideały greckie od naszych, wreszcie smak i poczucie sprawiedliwości i piękna w Grekach od odpowiednich im czynników w duchu dzisiejszej ludzkości. Orestes matkę swoję zabija, córka pana Fabrycyusza matkę swoję odtrąca; jest to tylko rodzaj matkobójstwa: zabija się nietylko nożem, ale i nienawiścią lub odmówieniem czci, wtedy, gdy się kochać i czcić powinno. Autor nowożytny posuwa się dalej niż tragik grecki: bo gdy tamten zsyła na zabójcę Eumenidy, ten bohaterkę swoję obdarza ziemskiem serdecznem szczęściem. Czy jednak sztuka Wilbrandta jest nierozumną i niegodziwą? Czy bohaterka jej wzbudza w nas odrazę; czy uczucie nasze w ciągu sztuki staje po stronie matki odtrącanej, czy czujemy, że dzieje się tu krzywda istocie ludzkiej, a gwałt sprawiedliwości, zamach świętokradzki na ideał, ze wszystkich ideałów ludzkich najdawniejszy, a przez wielkiego człowieka sformułowany w rozkaz: czcij ojca twego i matkę twoję? Nie, bo matka jest istotnie winną, a córka porywa nas czystością swej duszy, pociąga formą swego przejawiania się w życiu, przywiązuje logicznością swego gniewu i przekonywa nas ostatecznie samą naturą duchowego swego upostaciowania. Odtrącenie matki leży w jej charakterze, usprawiedliwia się przebiegiem dzieciństwa i młodości, uzasadnia późniejszem małżeństwem i macierzyństwem, i samą surowością dla siebie i dla innych. Agata Stern należy do jednej rodziny z Kordelią Shakespeare'a: są to dusze stawiające ideały ponad osobistościami, kochające silniej to, co być powinno, niż to, co i jak jest, choćby było najdroższem; dusze prawe, stworzone do prawdy, cnoty i sprawiedliwości, ale przytem szorstkie, pozbawione niezbędnej w życiu miękkości, w stosunkach nawet z najbliższymi, niezdolne do wyrozumiałości, do zapominania i przebaczania krzywd, przez które cierpi nietylko ich własne serce, ale i wyżej nad nie uprawniony ideał. Duma własnej prawości nie pozwala im słuchać, czcić, kochać tego, co się nieprawości dopuściło. Cześć i miłość z dusz takich wychodząca będzie zawsze rozumną; namiętnych, ślepych, w przepaść wtrącających porywów taki duch arystokratyczny nie zazna; nie stanie nigdy w rozterce z prawdą, nie zwiąże się nigdy z tem, czego szanować niezdoła. Taką jest Agata Stern; a jak Kordelia nie mogła zniżyć się do pochlebstwa i zaprzeczenia prawdzie, choć zniżywszy się, mogła była i sama trzeciej części królestwa ojcowskiego nie utracić i ojca od szponów złych córek uchronić, tak i bohaterka dramatu Wilbrandta, nie bacząc na obyczaj zamieniony w prawo, przekładając niedostatek nad byt świetny, któryby mieć mogła, — nie zdoła rzucić się w objęcia matki, której tylko ślepa natura nadała tytuł, niczem przez życie niepotwierdzony. Agata, rosnąc wśród obcych, znajdowała w nich miłość, wtedy, kiedy rodzona matka, matka prawa, niezmuszona niczem do ukrywania swego macierzyństwa, ani razu ręki po swe dziecię nie wyciągnęła. Cóż mogło się wyrobić w duszy dziecka, duszy twardej, surowej a nawskroś czystej, biorącej wszystko na rozum i kochającej przedewszystkiem sprawiedliwość? Pani Ida Reinhold, żona Fabrycyusza, ma to, czego pragnęła: wyparła się dziecka; nie ma dziecka. Odmawiając jej miłości, dziecię wymierza na nią sprawiedliwość. Zziębnięte i głodne stało raz pod drzwiami jej pałacu, z którego biła łuna świateł, rozlegał się śpiew o miłości macierzyńskiej: wszystkie dni odtrącenia są karą za tę jednę chwilę. Zły czyn sam jest dla człowieka i sędzią i katem. Tasama córka, która matkę odtrąca, garnie się do ojca wypuszczonego z więzienia, przyznaje się do niego, gdy go podejrzewają o nową zbrodnię, los swój poświęca dla jego miłości, poświęceniem i ofiarą wszelką chce go wyrwać z rąk sprawiedliwości, w które on sam się oddaje. Moralna wartość ojca jest nieskończenie wyższą niż matki: dziecko widzi to, a poznanie krzywdy, jakiej ten ojciec doznał od swej żony, musi je umacniać w powziętem postanowieniu.

W dramacie Wilbrandta ramię karzące sięga dalej niż powinno, dalej niż na to pozwala dodatniość charakteru Agaty i sama nawet psychologia szczęścia. Sztuka powinna się kończyć nie przyrzeczeniem, ale rzeczywistem już zapomnieniem krzywdy i pogodzeniem się dziecka z matką. O miłości mówić już nie można, bo miłość nie jest pajacem papierowym, wyskakującym za pociągnięciem sznurka; nie chcemy mówić i o czci, bo nie można czcić tego, co czci w sobie samem niema: można się zdobyć tylko na przebaczenie, uznanie, litość, tolerancyą. Tego właśnie od Agaty wymagamy, tegośmy się w akcie IV spodziewali. Agata potrzebowała przebaczyć matce dla pełności swego szczęścia, powinna była przebaczyć, bo patrzała na jej cierpienie, mogła przebaczyć, bo dusza jej, od szczęścia rozmiękła, już się surowości pierwotnej pozbyła. Ona sama jako charakter, przez przebaczenie bardzo wiele-by zyskała: nie tracąc tego, co rdzeń jej duszy stanowiło, nabrałaby światłości i ciepła, a przez poświęcenie gniewu i zemsty dałaby świadectwo o moralnej swojej wyższości. Samo prawo harmonii etycznej dopominało się takiego przebaczenia; domagają się go i względy estetyczne: równowaga, ukojenie jest przy takiem nawiązaniu stosunków niezbędnem. Grek nigdy-by nie skończył sztuki swojej tak, jak ją skończył Wilbrandt: jedną z dwóch posłałby do Orku, ale-by ich żywemi a niepogodzonemi nie utrzymał.

Charaktery głównych działaczy: Agaty i obojga jej rodziców odznaczają się bogatą treścią, wykończeniem, jednolitością i rozumnem upowodowaniem swych objawów; szczególniej Agata i Fabrycyusz są pod względem tragicznej pełności i doskonałości swojej wytworami, z których dumną być może nowoczesna muza dramatyczna; co do Agaty tylko czynimy w tem miejscu zastrzeżenie z powyższej uwagi o rozwiązaniu sztuki wypływające, a Fabrycyuszowi mamy za złe to, że zadługo córkę swoję i samego siebie w akcie II na torturach trzyma. Fabrykant Rolf, oryginalnie, silnie zindywidualizowany, ginie wobec trojga Fabrycyuszów; przy innej budowie sztuki mógłby i on stać się postacią pierwszorzędną. Pyszną jest jako humor, Tekla, piastunka dziecka Agaty; lokaj Jan ma w sobie zrąb zajmujący: jest pijakiem i kaznodzieją klerykalnym.

Dwa pierwsze akty dramatu Wilbrandta zarysowują nam wyraźnie wszystkie trzy główne charaktery, toczą się naturalnie, poważnie, z poszanowaniem tematu; ale dwa drugie wychodzą z kolei dramatyczności uczuciowej i zamiast rzeczywistych psychologicznych momentów dają effekta, któreby tylko w melodramacie potocznym właściwe miejsce dla siebie znaleźć mogły. Zupełnie chybionym jest pomysł chwytania Fabrycyusza jako złodzieja w akcie III, a najnieszczęśliwiej wprowadzonem badanie u sędziego śledczego w akcie IV. Zamiast tych sztuczek można było wytworzyć wypadki i stosunki stylem do dwóch pierwszych aktów zastosowane, a bogactwo charakterów przed widzem ujawnić zdolne. Temat miłości Rolfa i Agaty mógł doskonale wypełnić dwa drugie akty dramatu: ujrzelibyśmy w niej walkę namiętności osobistej z uczuciem dziecięcem w Agacie, walkę takiejsamej namiętności z uczuciem wstydu społecznego w Rolfie. Oboje rodzice również rozprawić-by się ze sobą powinni, a tymczasem autor ani razu im oko w oko sobie spojrzeć nie pozwolił. Spotkanie się Fabrycyuszów mogłoby być bardzo dramatycznem; nie przeczymy, że opracowanie takiej chwili przedstawiało wielkie trudności: ale drogi sztuki są właśnie drogami wielkich przeszkód, a zarazem i wielkiej mocy i trudu. Przebaczenie matce wystąpiłoby wtedy z taką koniecznością, że nie potrzebowalibyśmy dziś rozwiązania dramatu błędnem nazywać.

Gra p. Królikowskiego (Fabricius) i p. Derynżanki (Agata Stern) nadała przedstawieniu siłę do łez poruszającą: mężczyzni nawet płakali na widok cierpień ojca i nieszczęścia córki. Pierwsza artystka naszej sceny pozbyła się niemiłego cedzenia, przesadnej, powolnej a poszarpanej, wybuchowej dykcyi: jest i w mowie, i w ruchach i w całej postawie spokojniejszą; ten spokój zaś nadaje jej więcej i siły i prawdy; w akcie IV nawet było zawiele bezsilności. Rola zastosowana umiejętnie do charakteru i położenia Agaty musiała sprawić wrażenie. Dawać rady Królikowskiemu — byłoby śmiesznem; zapytujemy go tylko: czy nie uważałby za właściwe wcześniej podnieść się z ziemi w akcie II, podczas rozmowy z córką? Jako całość, Fabricius Królikowskiego jest znakomity. Samo wejście na scenę ukazuje już mistrza.

We Lwowie odbywa się zjazd delegatów z całej Galicyi; mieszkania ani znaleźć. P. Alfons Kaczorowski ma mało pokoi, a dużo znajomych prowincyi: wszyscy cisną się do niego, z dziećmi, żonami, mamkami. Korzystają z otwartych, źle strzeżonych drzwi nawet i nieznajomi, a jeden, separat dobrowolny Szynderski, popełnia moralne włamanie się i dom p. Alfonsa za hotel, żonę jego za posługaczkę hotelową, a dwóch przyjaciół za kelnerów uważa. Przedtem jeszcze przypadek wniósł w progi p. Alfonsa małżonkę tego separata. Pomyłka popełniona przez niejakiego Millera, biorącego kaczkę za gęś, a Kaczorowskiego za Gąsiorowskiego, pomyłka przyjaciół Alfonsa, biorących znowu Szynderskiego za wujaszka, upragnionego, bo bogatego,—powiększają galeryą tych przyjezdnych, którym do szczęścia potrzeba tylko jeszcze Tonia Narwańskiego, skarżącego się na ciasne kamaszki, a żebrzącego po 10 guldenów na jakąś kolacyą składkową. Pomyłki potrzebne dla istnienia sztuki, w samym jej końcu dopiero się wyjaśniają: p. Szynderski z Sanockiego poznaje, że nie jest w hotelu; Professor Tertulian Miller idzie po rozum do głowy i zaczyna się domyślać, że gęś nie jest kaczką; Państwo Alfonsowstwo przepraszają prawdziwego swego wujaszka za niegrzeczność, jaka go spotkała; a na samo zakończenie p. Szynderscy, oboje w negliżach, pogodziwszy się z sobą, schodzą razem ze sceny. Po ich odejściu, dopiero widz spostrzega, że się ubawił głupstwem, ale się ubawił, i niczego więcej nie chciał i nie potrzebował. Jedynym rysem wybitniejszym, w którym znać ołówek satyryczny, jest ciemięgowate, pantoflowe roztatusienie się p. Józefa Brzękalskiego, który, z niedołęztwem ludzi miękkich a żyjących o małym promieniu i na nizkiej skali duchowej, troskliwość o swe niemowlę objawia w sposób ośmieszający go przed widzem. Pomysł Millerów przez *i* i Millerów przez *u kreskowane* jest tak zużytym, że się już do użytku nie nadaje, a kto pamięta Bourbillonów z *Zachodu słońca*, ten w opowiadaniu professora Tertuliana nic dowcipnego nie znajdzie. Sam Wujaszek Alfonsa przypomina setki podobnych dziwaków. Wogóle humor tej sztuki, tkwi w ciągłych *qui pro quo* i *quod pro quo*, a nie w charakterach osób działających: nasza literatura dramatyczną nie może powiedzieć, żeby się *Wujaszkiem pana Alfonsa* wzbogaciła.

Kilkanaście lat temu, poeta francuzki Theuriet, napisał bardzo szlachetny, uczuciowy, piękny obrazek *Jean Marie*; Sara Bernhardt wystąpiła w nim podczas pobytu swego w Warszawie, a p. Derynżanka, zachęcona przykładem, postanowiła także sił swych w tym obrazku doświadczyć. Z doświadczenia wypłynęło dobre świadectwo o talencie: Teresa, żona Joela, w *Marynarzach*, mimo małych swych rozmiarów, do rzędu najwybitniejszych wytworów tragicznych artystki naszej należy. W szczegóły wchodzić tu nie możemy; stwierdzamy tylko fakt doskonałej gry i przyjemność, jakąśmy z niej wynieśli. Charakter Teresy, moralnie podniosły i bogaty, nie byłby zamałym do 5-aktowej tragedyi, i szkoda, że poeta, do większych pomysłów niezdolny, malowidła swego rozszerzyć nie mógł. Artystka zrozumiała, i przywiązanie Teresy do ideału wierności małżeńskiej, i tęsknotę miłosną za Janem, i gorącość pierwszego powita-

nia i późniejsze wyrzeczenie się praw serca dla prawa uczciwości i prawa. Znakomite było jej wołanie do Jana: „o, jedź, jedź, uciekaj ztąd jaknajdalej“. Na głos ten cała męka ukrzyżowania, jaką przebywa w każdej takiej chwili dusza niewieścia — stanęła przed oczyma widza, jakby żywa, z plastycznością form swoich, ze świętością ducha dobrowolnie poddającego się cierpieniu.

Pan Ładnowski był jako Jan, gorętszym niż zwykle, ale roli swej nie zaokrąglił, nie wykończył należycie—a z głosu nie mógł wydobyć tego, czego głos ten niema: siły, głębokości, słodyczy. My, co pamiętamy Komorowskiego, powiedzieć musimy, że ćwierć wieku już mija, odkąd w teatrze naszym ostatni raz rozległ się głos pierwszego kochanka. prawdziwego romantyka, który umiał być i znakomitym artystą i poetą na scenie.

S. K.

WYPRAWA DO TONKINU

przez

Dubarda

przekład z francuzkiego.

(Dalszy ciąg)

Trąba morska—jest to potężny tuman pędzący po morzu, z mniejszą lub większą szybkością: a więc jak w każdym tumanie, w środku jego panuje niby spokój. Biada okrętowi, który na morzu dostanie się w ten pas zdradliwy: nic go już wtedy nie wydobędzie z nieszczęsnego koła i można go uważać za nieodwołalnie zgubiony.

Zdolny żeglarz powinien przewidzieć zjawisko i albo się starać tak pokierować okrętem, aby go uniknąć, zawijając, jeżeli czas jeszcze, do jakiegokolwiek portu, albo, w ostatecznym już razie, starać się być poza pasem środkowym tumanu. Są nawet w marynarce stałe i najzupełniej pewne zasady postępowania w tem rozpaczliwem położeniu; stokroć jednak lepiej nie być w potrzebie uciekania się do nich. Nasz kapitan był tegosamego przekonania.

Gdy okręt podczas trwania trąby morskiej stoi na kotwicy i dzięki jakiejkolwiekbądź ochronie może się oprzeć potędze fali, wówczas przez jakąś chwilę znajduje się w pośrodku tego strasznego zjawiska, które przechodzi ponad nim, nie mając siły porwać go ze sobą. Jest to chwila zupełnego spokoju, krócej lub dłużej trwająca; poczem burza znów się rozpoczyna i trwa dopóty, poki potwór morski nie pójdzie w inne strony, aby nieść śmierć i zniszczenie.

Znajdowaliśmy się właśnie w chwili takiego spokoju, wiedząc jednak, że niedługo cieszyć się nim można, pracowano z rodzajem gorączkowego szału; lecz zaledwo wydobyto kotwice, wicher znów rozpoczął piekielne harce, napadając na nas gwałtownie odrazu, godząc wprost, niby kula armatnia. Co żywo zarzucono napowrót kotwice wraz z całym kłębem poplątanych łańcuchów. Czas już był, pięć minut później, a okręt nasz roztrzaskałby się o wybrzeża.

Druga część tego koncertu, granego przez wielką orkiestrę, krótszą była, aniżeli pierwsza. Około północy wiatr zwolniał, a nad ranem ustał zupełnie. Ponieważ kapitan miał zamiar pozostać na miejscu do dnia następnego, więc ci officerowie, którzy niepotrzebni byli na okręcie, mogli się udać na ląd, zobaczyć spustoszenie, sprawione przez huragan na wysepce Kulao-Kam.

Krajowcy, zaledwo ochłonąwszy z przerażenia, zwolna wychodzili z jakichś tajemniczych kryjówek, w które się pochowali byli podczas nawałnicy. Wyspa przedstawiała smutny obraz zamieszania i zniszczenia. Wszystko na jej powierzchni było zburzone i połamane, chaty poprzewracane lub bez dachów, drzewa powyrywane z korzeniami, płoty, narzędzia rolnicze i ubogie sprzęty z chat leżały porozrzucane przez wiatr lub uniesione falą. Sprawiało to wszystko nader przykry widok.

Daremnie przez dwie godziny szukaliśmy jakiejkolwiek żwierzyny: nie było nawet jednego ptaszka; wszystkie zatopił ulewny deszcz, padający strumieniami, lub wicher wpędził w morze. Tylko na brzegu lasu zarosłego nieprzebytemi lianami, swawoliły małpy, lecz, usłyszawszy pierwszy strzał, uciekły, wykrzywiając się i wydając okrzyki przenikliwe.

Towarzysze moi żałowali bardzo, że nie trafili z nich żadnej, ja zaś czułem się wielce zadowolonym, iż właśnie nie popełniono żadnego w tym rodzaju morderstwa. Mojem zdaniem, szkoda zabijać niewinne żwierzę, niedające żadnego pożytku; zaspokojenie głodu, to jedyna wymówka okrucieństwa myśliwego.

Sam jestem myśliwym, i myśliwym niezmordowanym przy zdarzonej sposobności, lecz nigdy jeszcze nie zabiłem sarny, abym zaraz nie uczuł pewnego rodzaju wyrzutów sumienia, i aby mi oczy nie zaszły łzami, gdy słyszę niemal dzikie jej jęki.

Co do małpy, dalekim jestem od uważania gorylla za naszego przodka i na punkcie ich pokrewieństwa mniejwięcej autentycznego i urzędowego z nami, nie posiadam pojęć tak mądrze i jasno wyrobionych, jak doktor Karol Vogt. Owszem, pierwszy przyznam, że te złośliwe czworonogi, zarówno pod względem moralnym i intellektualnym, dalekie są od człowieka, o którym Paskal powiedział, że nie jest *ani aniołem, ani zwierzęciem*, a Lamartine utrzymywał, *że to Bóg upadły, niebo pamiętający*. Jednakże muszę przyznać, że pod względem fizycznym istnieje w wielu rzeczach takie podobieństwo pomiędzy małpami a nami, że, naprzykład, postrzeliwszy małpę i patrząc na jej konanie, pomimowolnie zapytujesz siebie: czyś nie popełnił morderstwa na swym bliźnim? Po wielu też doświadczeniach tego rodzaju, przysiągłem sobie oszczędzać te stworzenia, które po większej części są nieszkodliwe, a mięso ich i skóra najczęściej nie mają żadnej wartości.

Nazajutrz o ósmej rano opuściliśmy przytem Kulao-Kam, kierując się ku ujściu rzeki Czerwonej, lecz widocznie przeznaczonem nam było odbywać tę podróż z Saigonu do Tonkinu z ciągłemi przystankami; około drugiej po południu musieliśmy znów zarzucić kotwicę, tak morze było jeszcze gniewnie wzburzone.

Nowe nasze schronienie, wybrane przez kapitana, było prawdziwie uroczem miejscem; zatoka Fo-ya, to istne jezioro o przezroczych falach.

Pomimo dość spóźnionej godziny nie mogliśmy się oprzeć pokusie udania się na ląd. Kapitan nie bardzo chętnie zezwalał na tę wycieczkę; wybrzeże było niezamieszkałe, dzikie, porosłe lasami; niezbyt bezpiecznie było się tam zapuszczać. Popłynęliśmy jednak, przyrzekając zacnemu naszemu zwierzchnikowi zastosować się do jego zaleceń: nie oddalać się od morskich wybrzeży, strzelać od czasu do czasu dla odstraszenia dzikich zwierząt; a nakoniec powracać natychmiast, skoro tylko ujrzemy wywieszony na wielkim maszcie sygnał wzywający.

Dziki ten ląd pociągał mnie ku sobie w szczególniejszy sposób. W zapale mej wyobraźni zdawało mi się, że jestem na drodze do jakichś odkryć; więc też, skoro tylko przybyliśmy do lądu porzuciwszy majtków i kilku officerów, którzy zpomiędzy passażerów popłynęli razem z nami, sam wraz z jednym z mych dobrych przyjaciół pobiegłem w głąb' lasu.

Słyszeliśmy pianie dzikich kogutów w krzakach, nie dalej niż o dwa kroki; słyszeliśmy trzepotanie ich skrzydeł i sądziliśmy co chwila, że już, już je dosięgamy; lecz przeklęte stworzenia, odzywając się ciągle, przenikliwym jak trąbka głosem, ciągle podlatując, uciekały przed nami, niby złośliwe duchy. Zmęczeni daremnym biegiem wśród prawdziwie dziewiczego lasu, mieliśmy już powracać, gdy nagle ukazała nam się obszerna polanka, zarosła bujną zeschłą roślinnością. Takie łatwe do przebycia miejsce, zbyt wielką było pokusą. Przejdźmy na drugą stronę—rzekł mój towarzysz, ztamtąd powrócimy zaraz. Zgoda, naturalnie. Od pierwszego stąpnięcia w suche trawy, zpod nóg naszych zerwały się przepiórki i zaczęliśmy strzelać. Dobrze—pomyślałem—nie zbyt wcześnie co prawda, ale kapitan powinien być zadowolony, jeżeli słyszy naszą tyralierkę. W tej właśnie chwili, gdy sobie w duchu czyniłem tę uwagę, towarzysz mój zaklął głośno. Baczność!—krzyknął do mnie — pawie! A tu—do miliona piorunów! strzelba moja nabita ptasim śrutem!

Ujrzałem poruszające się trawy, w kierunku zkąd głos wychodził; przed oczyma mignęły mi niewyraźnie barwy czarne, popielate i błękitne, strzeliłem w powietrze na chybił-trafił, ale, niestety! i w mojej strzelbie były naboje na drobne ptaszki. Wspaniałe stworzenia nie raczyły się nawet wznieść w górę na mój strzał nieszkodliwy. Można się było drzeć za włosy z rozpaczy. Biegnijmy za niemi—rzekłem do mego towarzysza—może doścignąwszy je, zmusimy do lotu. Próżna, naiwna nadzieja!— Po drugiej stronie polanki ciągnął się znów las jeszcze gęściejszy, aniżeli na wybrzeżu: należało więc zakończyć wycieczkę tymbardziej, że i godzina wyznaczona na powrót dawno już minąć musiała. Zawróciliśmy też, lecz zamiast udać się tąsamą drogą, szliśmy brzegiem lasu, spodziewając się odnaleźć jeszcze nasze pawie. Nie szliśmy nawet pięciu minut, gdy przyjaciel mój zatrzymał się nagle.—Patrz—rzekł—kładąc mi rękę na ramieniu.

— Co?—zapytałem, rzucając wzrok w kierunku, który mi wskazywał. O kilkanaście kroków przed nami, przy niewielkiej kałuży wody, leżały krwawe jakieś szczątki; posunąwszy się bliżej nieco poznaliśmy dwie głowy, grzbiet jeszcze cały i trzy czy cztery nóżki sarnie. Łatwo było odgadnąć zkąd pochodziły te resztki. Konsumenci oddalili się naprędce, ale wilgotny grunt wyraźnie wskazywał ślady ich pójścia, mogące doskonale zastąpić karty wizytowe. — Uciekajmy, zakończył mój towarzysz, nie mamy czasu do stracenia; zobaczywszy pawie powinienem się był domyślić, że to miejsce niebezpieczne; paw' i tygrys żyją zawsze blizko siebie.

— A więc uciekajmy!—odparłem, tylko zabierzmy chociaż jakąś pamiątkę z tej naszej wyprawy—i podniosłem sarnie główki; a dziwnie były — maleńkie, z różkami na wpół pokrytemi skórą i z dwoma dużemi zębami, podobnemi do kłów dzika. Przekonaliśmy się później, że główki te należały do zwierząt z rodzaju sarnikow piżmowanych; ale w chwili, gdy je podnosiłem, nie myśleliśmy doprawdy o studyach nad historyą naturalną.

Należało co prędzej dostać się do łodzi. Słońce było już bardzo nizko nad zachodem. Widocznie spóźniliśmy się ogromnie, i zaczęliśmy się lękać, czy nas noc nie zaskoczy, która w krajach podzwrotnikowych następuje natychmiast prawie po zachodzie słońca. Już tysiące szmerów i brzęków wszelkiego rodzaju, wydawanych przez niezliczoną ilość naszych owadów, dawało się słyszeć. Szliśmy szybko, ale z pewną obawą zbłądzenia. Światło dzienne znikało raptownie; zaledwo mogliśmy widzieć na dziesięć kroków, przed sobą; jeszcze chwil kilka, a otoczy nas ciemność zupełna. Zdawało nam się, że już przeszliśmy dwa razy tyle drogi ile jej było potrzeba na dojście do brzegu zbłądziliśmy więc zapewne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Na wystawie róż odbytej w dniach 23, 24 i 25 Czerwca, występowało wystawczyń dziesięć: p. p. Marya Grotowska, Zofia Klemensowska, Aleksandra Kroczyńska, Pulcherya Krajewska, hr. Alexandra Potocka z Wilanowa, Wiktorya Pieńkowska, Barbara Posekowa, Marya Skarzyńska, Józefa Wyszomirska i Wolfowa. Nagrody przyznano p. p.: Zofii Klemensowskiej z Klemensowa za bratki; Alexandrze Kroczyńskiej z Bindugi za kollekcyą róż bez nazwy. Poza nagrodami przyznano podziękowanie publiczne p. p.: hrab. Alexandrze Potockiej z Willanowa, Maryi Grotowskiej i p. Wolfowej.

P. Modrzejowska ofiarowała 1000 rs. na szkołę koronkarstwa w Zakopanem.

Korespondent Płocki podaje w korrespondencyi z Mławy wezwanie, aby obok Towarzystwa pomocy dla młodzieży uczącej się w gimnazyum płockiem, wzniosło się takież Towarzystwo pomocy dla uczących się dziewcząt. W miasteczku Sierpcu pewna liczba osób przy zapisywaniu się na członków Towarzystwa oświadczyła gotowość płacenia takich samych składek na rzecz pomocy dla uczących się dziewcząt, jaką wnosi dla uczącej się młodzi męzkiej.

Na wystawie kwiatów odbytej w Manchester d. 26 Maja, między sędziami zasiadało dwie kobiet, co zdarzyło się w Anglii poraz pierwszy.

Miss Ormerod, której powierzono niedawno urząd entomologa, a raczej entomologistki przy angielskiem Towarzystwie Rolniczem, została obecnie wezwaną przez wyższą szkołę agronomiczną w Lirencester, „Royal Agricultural College“, do wykładania entomologii (nauka o owadach).

W pierwszych dniach Czerwca odbył się w Londynie miting, pod prezydencyą wielce szanownego i czynnego filantropa, lorda Shaftsbury, w celu narady nad wprowadzeniem do fabryk i warsztatów angielskich nadzoru kobiecego. Istnieje on już we Francyi. Początkowo rząd francuzki mianował siedm inspektorek z prawem zwiedzania fabryk i warsztatów, w których pracują kobiety i dzieci; obecnie podniósł liczbę tę do dziewięciu, przyczem inspektorki owe, pobierające pensyą od rządu, zostały upoważnione do zwiedzania fabryk i warsztatów o każdej porze dnia i nocy. W ubiegłym roku zeszły one 20,000 razy do wyznaczonych sobie fabryk i warsztatów, a większa część tych odwiedzeń była w nocy. Prezydent Rady Municypalnej Paryża napisał w ostatniem swem sprawozdaniu, że nadzór kobiecy wydał najszczęśliwsze skutki tak pod względem moralności, jak hygieny, przez usunięcie wielu nadużyć i wprowadzenie wielu zmian w urządzeniach fabryk i warsztatów. Miting londyński przyjął też w zasadzie potrzebę podobnej inspekcyi, wykonywanej przez kobiety lord Shaftsbury głos swój do tego wniosku w zupełności przyłączył, wykazując przecież, że przedstawia się tu wiele trudności co do wprowadzenia w czyn pożytecznej instytucyi inspektorek nad pracą kobiet i dzieci po warsztatach i fabrykach. Trudność ta polega głównie na niechęci, z jaką niewątpliwie właściciele i podwładni im dozorcy robót przyjmować będą inspekcyą kobiet, szczególniej nocną. Niemniej lord Shaftersbury przyrzekł wprowadzić do parlamentu deputacyą, żądającą w imię moralności i hygieny publicznej ustanowienia inspekcyi kobiecej.

Bill wymierzający karę pręgierza na dręczycieli kobiet i dzieci, przyjęty wielką większością głosów przez Izbę Gmin, skomplikował się nieszczęśliwie przez zaszłe od owego czasu wypadki polityczne. Bil ten wnosili przeważnie członkowie Irlandcy, pod przewodnictwem członka Sullivan'a i miał on zastosowanie swoje rozciągnąć jedynie do właściwej Anglii, gdyż obyczaje Walii, Szkocyi, Irlandyi nie przedstawiały potrzeby podobnego obostrzenia praw. Otóż zanim bill mógł pójść pod zatwierdzenie Izby Wyższej, nastąpiło w Irlandyi zabójstwo lordów Cavendisha i Burke'go, a rozdrażnienie publiczności angielskiej odbiło się w sposób nieprzyjazny na billu i dziennik londyński, *Daily News*, zamieścił surową krytykę billu, głównie ze względu, że wnosili go członkowie irlandzcy. Anglicy nie potrzebują, aby naród tak krwiożerczy uczył ich moralności i łagodził ich obyczaje—pisano, dodając, że powinni Irlandczycy pierwej zaprowadzić u siebie zmiany, broniące społeczeństwo przeciw dzikim i nieludzkim instynktom barbarzyństwa. Miss Tod, szlachetna patryotka Irlandzka, odpisała, wykazując różnicę między jedną a drugą rzeczą: między nieszczęśliwem, jakkolwiek nagannem roznamiętnieniem Irlandyi, które przecież jest skutkiem wiekowych cierpień i boleści, a srogością i niezawodnie już „dzikiemi, nieludzkiemi instynktami barbarzyństwa“ w ludzie angielskim, który wywiera je ciągle i nieustannie na słabej, bezbronnej kobiecie i dziecku, gdy w Irlandyi okrutne przejścia obecnej chwili są tylko epizodem przejściowym w jej obyczajach. Sullivan odpowiedział natychmiast na ten list miss Tod przez dzienniki, dziękując jej gorąco za szlachetną obronę nieszczęśliwej ich ziemi rodzinnej, niemniej ogłaszając przytem postanowienie cofnięcia billu, który w obecnej chwili zostałby niewątpliwie odrzucony z przykremi dla Irlandyi kommentarzami. „Niech Anglicy i Angielki pilnują spraw swoich“ (Let Englishmen and Englishwomen look to it) on się od tego usuwa, niemniej nieprzestanie śledzić stanu rzeczy w tym kierunku, i zbierać dowodów, choć dość ich, przemawiających bardzo silnie za billem, przedstawia urzędowe w 1875 r. ogłoszone sprawozdanie z ostatnich lat dziesięciu „Report on Brutal Assaults“. Zdaje się jednak, że Sullivan, wyprowadzając sprawę billu przed oczy świata, chciał rzeczywiście odpowiedzieć na zarzuty Anglii, czynione Irlandyi, jako ojczyźnie ludzi dzikich i okrutnych. — Nie, my jesteśmy z natury naszej łagodniejsi, lepsi, szlachetniejsi od was, lecz tylko nieszczęśliwie uniesieni i przepełnieni rozpaczą— mówił im przez ten bill pośrednio. Anglia zrozumiała to prędko i odpór znalazł się nawet między kobietami angielskiemi, które biorąc za motto wyrazy Sillivana: „Let Englishmen and Englishwomen look to it“ występują tłumnie przeciw billowi, przypominając tę bajkę żony, bitej przez męża, która krzyknęła na obrońcę swego, że ona właśnie chce być bitą. Ludzkość zawsze mieć będzie w piersi te wyższe, idealne uczucia, którem wszystko poświęci, na wszystko się zgodzi, byle naruszonemi nie została. Duma narodowa liczy się do ich rzędu, niemniej gdy chwila zadrażnienia przeminie, bill Sullivana ze względu na jego ludzkie, moralne strony, znowu wartość swoję odzyska i przez Aglików samych popierany, między prawa Anglii wejdzie, tylko upokarzająca ludzkość, a przestarzała kara pręgierza zapewne przez coś innego zastąpioną zostanie.

Bez gwałtownego, na sposób Ludwiki Michel, wdzierania się w sferę niekobiecej działalności, coraz-to więcej Angielek, oddanych cichej, spokojnej pracy zostaje przypuszczonych przez należne zasług ich uznanie do zajęć, jakie dotychczas wykonywał jedynie mężczyzna. W dwóch odległych od siebie punktach Anglii kobiecie został powierzony urząd registratora aktów zejścia i urodzin. Jedną jest M-rs Alister z Leicester, wdowa po registratorze i matka kilkorga dzieci, która rzeczywiście spełniała przez długie lata pracę męża, chorego na suchoty: więc też gdy umarł, cała okolica podniosła głos, aby nieodbierano jej zajęcia, przez które żywiła oddawna liczną swą rodzinę. Ponieważ regestator generalny, lord Henniker odbierał zawsze na czas raporta i wykazy spisane bardzo porządnie, poparł gorliwie żądanie i kobieta została mianowaną urzędnikiem państwa. Zupełnie tosamo powtórzyło się z miss Markwick, z obwodu Isfield. Tam sędziwy ojciec wyręczał się oddawna córką i po jego śmierci pozostawiono ją na urzędzie ojcowskim przez to uczucie sprawiedliwości, które w człowieku zbiorowym przemawia zawsze za rzeczywistą zasługą, za cnotą i popiera pracę sumienną, bez zuchwałej reklamy wykonywaną.

Wyszła świeżo we Florencyi dzieło napisane przez kobietę, signorę Pomba Pachiotto, pod tytułem: „L'Apostolato delle donne“ a zawierające cały szereg znakomitych kobiet włoskich, szczególniej w literaturze. Krytyka włoska bardzo chwali i zajmuje się ciekawą tą książką.

Włochy, pragnąc urządzić u siebie dobroczynność publiczną, nieistniejącą tam niemal obecnie, zwołały w 1880 r. komissyą, złożoną z ludzi ogólnie poważanych, filantropów i ekonomistów, powierzając im to dzieło. Otóż, po dwuletnich obradach, komissya przedstawiła obecnie wyniki prac swoich, wśród których mieści się żądanie, aby kobieta wzięła czynny udział w wykonywaniu dobroczynności publicznej, gdzie z natury rzeczy miejsce mieć powinna. Wniosek swój opiera kommissya na wrodzonej uczuciowości kobiety, która znajdowałaby tu zastosowanie swoje i pisze: „Jak w stowarzyszeniu rodzinnem kobieta jest zwykle jałmużniczką domowego ogniska i wykonawczynią dzieł miłosiernych, tak samo w wielkiej rodzinie narodowej kobiecie powinno być wyznaczonem to miejsce. Nawet wieki przeszłe, tak bardzo usiłujące zamknąć kobietę w życiu wyłącznie rodzinnem, i tak niesłusznie pomawiane o brak uczuć miłosiernych, już to rozumiały. W każdym razie rozumiał to chrystyanizm, ustanawiając instytucyą dyakonis i zachęcając ducha miłosierdzia w kobietach. Czyny dostojnych pań chrześcijańskich, które nietylko oddawały mienie swe ubogiem, ale same zajmowały się rozdzielaniem jałmużn, przyjmowaniem pielgrzymów, opatrywaniem chorych, chowaniem sierot, były wysoko podnoszone przez pisarzów chrześcijańskich, jako rzecz miła Bogu i Kościołowi. Nawet ten duch miłosierdzia, nieznany pogaństwu, tego poświęcenia na korzyść cierpiących i ubogich, do którego tak nawoływali krzewiciele chrześcijaństwa, a który przeniknął społeczeństwo ludzkie wraz z przyjęciem nowej wiary, głównie wystąpił tu przez kobietę i Ojcowie Kościoła, tak ci, którzy byli z tego powodu przejęci entuzyastycznem uznaniem dla kobiety, jak ci, którzy chłodniej na rzecz się zapatrywali, przyznawali zarówno, że żywioł to niewieści działał przeważnie w tem natchnieniu miłosiernem, któremu trzeba było wzruszyć świat. Kobiety zatem wzięły udział czynny w rozszerzaniu chrześcijaństwa i były w tworzącym się Kościele siłą żywą, niezamykającą się dlatego właśnie w ascetyzmie, odcinającem je od życia czynu i dobroczynnego działania na ludzkość“.

Wykazując następnie, że i dziś kobieta nie przestała być litościwą i miłosierną, że w latach wielkich klęsk kraju, w latach głodu, pomoru, kobieta to przeważnie wzrusza się i nietylko groszem przykłada się do ulżenia losu nieszczęśliwych, ale występuje czynnie i z poświęceniem bardzo wysokiem osoby własnej, kommissya wnosi, aby kobieta znalazła się na urzędach dobroczynności publicznej, aby była do nich przypuszczoną wszędzie, gdzie tam stanąć zechce. Nie trzeba na to prawa nakazującego, ale dość jest prawa niewzbraniającego: dość równouprawnienia obu płci w zasadzie, a reszta znajdzie się sama. Wprawdzie rodzina i jej obowiązki są pierwszą powinnością kobiety, ale ta, której serce jest tak gorącem, że je wzrusza nędza ludzka, ta nie odstąpi nigdy od powinności, będącej najwyższym nakazem serca. Przytem urzęda dobroczynne tak po gminach, jak i przy instytucyach, są i muszą być przeważnie wybieralne, zatem stanowić tu będzie głos ogółu, który potrafi zawsze rozstrzygać dobrze, w takiej kwestyi szczególniej.

Bardzo trafną jest zakończająca rzecz uwaga, że pociągnąć kobietę w tym kierunku, jestto zbawić jej ducha, aby z jednej strony nie pogrążał się w leniwej apatyczności i obojętności na wszystko, co go egoistycznie nie dotyka, a z drugiej aby chęć żywszej działalności i ambicya kobiety nie zużywała się wyłącznie w zbytkach i zwycięztwach salonowych. Kobieta, zwłaszcza bogata, znajdując w tym kierunku otwarte sobie pole, może się podnieść nad wiele wad, uważanych niesłusznie za wady jej płci, bo są to głównie wady wychowania i położenia.

Złożono w Redakcyi *Bluszczu*, dla Skarbka Malczewskiego, od p. Ib. z Kalwaryi Rs. 3.

TREŚĆ. Impromptu, (poezya), przez Czesława.— **Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Róża, (dokończenie), przez M. I. — Nowiny paryzkie. — Przegląd teatralny, przez S. K. — Wyprawa do Tonkinu, (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20. **Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.**

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Іюня 1882 года.